

Władysław Konopczyński, *Dziennik 1918–1921*, cz. 1–2, wstęp Piotr Biliński, oprac. Piotr Biliński, Paweł Plichta, Muzeum Historii Polski, Ośrodek Myśli Politycznej, Warszawa–Kraków 2016, ss. 505 + 475, il., tabl. genealogiczna, 2 mapy.

W ramach rocznicowego cyklu wydawniczego *100-lecie Niepodległości. Wspomnienia i pamiętniki*¹ zainicjowanego przez Muzeum Historii Polski, Piotr Biliński i Paweł Plichta podjęli trud opracowania dziennika Władysława Konopczyńskiego, obejmującego lata 1918–1921. Zastrzec jednak muszę, że posłużenie się w tym miejscu słowem „trud” nie stanowi ani archaizmu, ani skonwencjonalizowanej recenzyjnej metafory – nic w istocie niemówiącej o rozmiarach i charakterze wysiłku edytorów. Nie obrazuje tego wysiłku również fakt, że dla potrzeb rocznicowej serii spośród 167 zeszytów obejmujących okres 1895–1952, w którym Konopczyński prowadził swój dziennik, wybrano piętnaście kolejnych, pochodzących z lat 1917–1922. Dla sprawy restytucji polskiego państwa były to lata w sposób oczywisty najważniejsze, choćby tylko ze względu na konferencję paryską i Wersal (1919) oraz wojnę polsko-bolszewicką 1919–1920. Wspomniany „trud” nie dotyczył zatem samego wyboru, lecz został także poniesiony w trakcie edytorskiego opracowania tekstu dziennika, na stronach którego sprawy codzienne – rodzinne, towarzyskie, zawodowe (nauka i dydaktyka uniwersytecka), polityczne (działalność w ramach Ligi Narodowej i Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego), a także gospodarskie, związane z niewielką posiadłością ziemską w Młyniku pod Ojcowem – sąsiadują z Wielką Historią na zasadzie „zdania po zdaniu”, a niekiedy „słowa po słowie”. Zapisom w swoim dzienniku Konopczyński nadał formę niemal kronikarską. Rządzi nimi głównie chronologia wydarzeń, w których autor w sposób mniej lub bardziej bezpośredni uczestniczył. Kryteria rodzaju i ważności tych wydarzeń zdają się tu schodzić na plan drugi. W efekcie otrzymujemy narrację operującą bardziej szczegółem niż uogólnieniem. Dla przykładu jeden z zapisów z 1918 r.: „Dnia 4 lutego. Poniedziałek. Duś ma już po gardziołko tych moich posiedzeń. Zwykła w tym wieku i położeniu historia. Na wykład o reformach chodzi pięcioro osób. W ogóle mam mało szczęścia do kobiet: na J[anie] Kazimierzu też większość płci brzydkiej. Majstruję po trosze około nowej półki (ze skrzyni), a piszę całą siłą Jana Kazimierza do Encyklopedii. Dostałem zaproszenie na jeszcze jeden rodzaj zebrań – na owe etyczne pogadanki u Wrzoska. Wieczorem byliśmy dziś oboje u Semkowiczów. Obecni Bujak, Kutrzeba, Ehrenkreutz. Przez tego ostatniego posyłam Adasiowi paltot zimowy” (cz. 1, s. 74–75, 350–335). Złośliwy komentator tego fragmentu dziennika mógłby powiedzieć, że zbliżający się do czterdziestki profesor miałby prawo martwić się brakiem kobiecego zainteresowania, gdyby nie fakt, że niewieścią absencję na swoich wykładach uniwersyteckich mógł on bez najmniejszych przeszkód rekompensować sobie jako wykładowca w Baraneum, gdzie cieszył się stuprocentową frekwencją płci pięknej. Chociaż nie zawsze. Zdarzyło się bowiem i tak, że audytorium zastał całkowicie puste, za co, prawdopodobnie w charakterze retorsji, postanowił w ogóle nie przyjść na następny wykład. Czy jednak słuchaczki odebrały to jako retorsję? Chociaż nie wiadomo, jak się to wszystko skończyło, to można zaryzykować hipotezę, że ów koniec był bardziej fredrowski niż szekspirowski. Ale co to było owo Baraneum? Żartobliwy podtekst potocznej nazwie owej naprawdę

¹ Uprzednio ukazały się edycje: L. Wasilewski, *Piłsudski, jakim go znałem*, wstęp A. Friszke, Warszawa 2013; zbiór tekstów wspomnieniowych różnych autorów: *Liga Narodowa (1893–1928). Wybór relacji*, wybór, wstęp i oprac. T. Sikorski, A. Wątor, Warszawa 2015; J. Moraczewski, *Przewrót w Polsce*, wstęp i oprac. T. Nałęcz, Warszawa 2015.

szacownej instytucji, istniejącej w Krakowie od 1868 r. jako Wyższe Kursy dla Kobiet imienia Adriana Baranieckiego, nadawało brzmienie nazwiska jej założyciela i dobroczyńcy oraz fakt, że były to kursy dla pań, które z różnych przyczyn nie chciały lub nie mogły sprostać wymogom studiów uniwersyteckich. Skądinąd frekwencja na wykładach Konopczyńskiego w tymże Baraneum w ogóle była marna. Poza wspomnianym incydentem z całkowitą absencją nie należało do rzadkości, że na jego wykłady z historii powszechnej czasów nowożytnych przychodziło zaledwie kilka kobiet. Miał więc jednak na co narzekać, ale że czynił to z podsztytą dystansem do samego siebie ironią, to choćby tylko dla uśmiechu warto wczytywać się w jego zapisy czynione niemal dzień po dniu. Rzadko zdarzały mu się kilkudniowe przerwy w kontynuacji dziennika, a jeśli już, to starał się wypełniać je na zasadzie retrospekcji. Trzeba jednak powiedzieć, że pamiętnikarskie partie w jego dzienniku należą do rzadkości. Starał się bardzo, aby prowadzony był on regularnie i na bieżąco odzwierciedlał doznania swego autora. Zarówno na uniwersytecie, jak i w Baraneum wykładał, począwszy od 1912 r., kiedy przeniósł się z Warszawy do Krakowa, z tym że jego związki z tą ostatnią uczelnią skończyły się w 1921 r. Od tego momentu w jego życiu było jeszcze mniej kobiet.

W dzienniku „połykał” wręcz czas. Mrówczej zatem roboty wymagały od edytorów kwestie związane z rozszyfrowywaniem pseudonimów, imion pozbawionych nazwisk, nazwisk pozbawionych imion, tajemniczych zdrobnień, znanych tylko rodzinie i kręgom najbliższych znajomych, a także rozlicznych „środowiskowych” kryptonimów osób, oficjalnych nazw organizacji społecznych, politycznych i wszelkich innych. Dość powiedzieć, że pierwsza z jego córek, Halina, na kartach dziennika swego ojca jawi się nie tylko, co w pełni zrozumiałe, jako Halinka, ale również jako Halex, Halinajczyk, Halineasz, Halinejczyk, Halineusz oraz Halixik. Biliński i Plichta ubolewają, że nie udało im się rozszyfrować wszystkich neologizmów, metafor i kryptonimów używanych przez Konopczyńskiego w odniesieniu do osób oraz formacji instytucjonalno-organizacyjnych. Stąd też, w słusznym miejmy nadzieję przekonaniu², że na obecnej edycji publikacja dziennika Konopczyńskiego się nie skończy, apelują do czytelników, by zechcieli dopomóc w udoskonaleniu ich świętego skądinąd od strony edytorskiej dzieła. Nie sposób nie przekazać tego apelu zarówno autorom, jak i czytelnikom „Klio Polskiej”.

Zdawać by się mogło, że każda z obu wydanych części dziennika niejako naturalnie ma swą fazę kulminacyjną. Przeświadczenie to potwierdza się, ale tylko w odniesieniu do części pierwszej, której niemal połowę obejmują fragmenty powstałe w czasie kilkumiesięcznego pobytu Konopczyńskiego w Paryżu (luty – koniec czerwca 1919 r.), wiążącego się z podjęciem przez niego pracy w utworzonym już w listopadzie 1918 r. Biurze Prac Kongresowych przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych. „Francuskie” partie dziennika, zatytułowane zbiorczo jako, pozbawiony skądinąd numeru, Zeszyt paryski, różnią się swą „arkuszową” formą od pozostałych, zamieszczonych w zeszytach numerowanych. Zapewne brak zapasu odpowiednich zeszytów pozostawał w związku z utrzymującą się aż do dnia wyjazdu niepewnością zgromadzonych wcześniej w Warszawie pracowników Biura co do tego, czy ich wyjazd w ogóle dojdzie do skutku oraz ile będzie trwał, a także z nakazem zachowywania w tej sprawie jak najdalej idącej dyskrekcji. Dość powiedzieć, że kiedy rankiem 5 lutego 1919 r. pracownicy Biura dowiedzieli się, że wyjazd nastąpi właśnie tego dnia wieczorem, to „mówiło się o tym w wielkim sekrecie jedni przed drugimi” (cz. 1, s. 279).

Na czele Biura stał historyk literatury, kustosz Biblioteki Ordynacji Krasińskich w Warszawie, Franciszek Pułaski (inna forma nazwiska Kostro-Pułaski), który dobrał sobie grono

² O słuszności tego przekonania zdaje się świadczyć fakt, że nakład pierwszego wydania został już wyczerpany.

ekspertów wspomagających delegację polską w trakcie konferencji pokojowej w Paryżu. Rzadko kiedy „argument z historii w polityce” odgrywał tak ważną rolę jak w pracach konferencji kończącej Wielką Wojnę, trudno się zatem dziwić, że w Biurze Prac Kongresowych prym wiedli renomowani historycy, tacy jak Franciszek Bujak, Oskar Halecki, Stanisław Kutrzeba, językoznawca i historyk kultury Kazimierz Nitch, ekonomista i historyk dziejów gospodarczych Roman Rybarski czy w końcu sam autor dziennika. Jeszcze w Warszawie Konopczyński zabrał się do pracy nad referatami, które miały wspomagać polskich polityków w trakcie konferencji pokojowej. Przypadły mu niebagatelne tematy: zabory, a także sprawy „Żydów i dysydentów”, przy czym szczególną wagę przywiązywał do pierwszego z nich, podejmującego bardziej bezpośrednio kwestię granic państwa polskiego (cz. 1, s. 256), o których dyskutowano, przygotowując się do sformułowania traktatu pokojowego. Oczywiście w Paryżu referatowa działalność Biura nabrała tempa, choć nie brakowało narzekań, że niektóre kwestie powinny zostać zniuansowane i dostosowane do treści memoriałów przygotowanych przez oficjalnych przedstawicieli strony polskiej. W zapisie sporządzonym przez Konopczyńskiego 31 marca 1919 r. czytamy: „Radzono dalej nad wydawnictwami i nad pouczeniem cudzoziemców. Lutosławski robi broszurę o Prusach Wschodnich. Nitsch poprzestaje na skreśleniu kilku kartek o Spiszu i Orawie do ogólnego memorandum o granicy polsko-czeskiej. Ze Wschodem ciągle kłopot. Te same załączniki Kutrzeby, Tennenbauma, mój, Czekanowskiego, Haleckiego, Romera mają służyć do uzasadnienia różnych co do tendencji memoriałów Bartoszewicza, Łubieńskiego czy też Pułaskiego i może nawet samego Kutrzeby” (cz. 1, s. 353). Na tym polega poczucie humoru Konopczyńskiego, który jednak chyba znakomicie oddawał wcale niewesołe realia tamtych dni. Zapewne tak nie było, ale być mogło, że wybitny historyk prawa, jakim był Stanisław Kutrzeba, rzeczywiście napisał jakiś memoriał, który zupełnie nie pasował do wcześniej napisanych przez tegoż Kutrzebę załączników.

Zajęcia Konopczyńskiego związane z propagowaniem wśród zgromadzonych w Paryżu elit dyplomatycznych i dziennikarskich moralnego i politycznego znaczenia sprawy polskiej nie ograniczały się jednak do pisania historycznych referatów i kolacjonowania ich głównie francuskich i angielskich przekładów. W trakcie pobytu w Paryżu Konopczyński uczestniczył w wielu spotkaniach, sesjach i konferencjach, podczas których propagował wiedzę na temat historii Polski. Pisał też utrzymane w takim duchu teksty propagandowe, z których, mówiąc eufemistycznie, nie był jednak zbyt dumny. Tak naprawdę to łamał sobie wręcz głowę: „Jakby tu zrobić, żeby żaden ślad nie został po mojej własnej paryskiej produkcji, to jest po owym *Commentaire historique* i *Instruction Polonaise*? Toż takie dzieła zawsze będą mi wytykane jako tandeta nad tandetami, ani naukowo nie pogłębiona, ani politycznie porywająca” (cz. 1, s. 388). W miarę upływu czasu zaczął w nim narastać dystans w stosunku do tego, co robił w ramach swych „biurowych” obowiązków, a z chwilą, gdy w Paryżu osłabło przekonanie o skuteczności licznych początkowo „spotkań wywiadowczych, obiadków i podwieczorków dyskusyjnych”, które lubił, żalił się nad sobą, że: „W gruncie rzeczy nie ma o czym pisać. Korekty, tłumaczenia, bieganie po schodach od autora do autora i od sekretarza do referenta, oto cała treść prac codziennych” (cz. 1, s. 350).

Zwany przez kolegów po fachu „archiwożercą”, nie byłby jednak sobą, gdyby omijał paryskie biblioteki i archiwa. Pod tym względem nie oszczędził również własnej żony, która dojechawszy po pewnym czasie do Paryża, włączyła się nie tylko w prace Biura, ale też w sporządzanie odpisów i wypisów archiwalnych, służących „pozabiurowym” pracom historycznym męża. Ciekawe, że nie przeszkadzało to im obojgu w korzystaniu z uroków francuskiej stolicy. Trzeba przyznać, że jak na miesiąc wspólnego pobytu państwo Konopczyńscy dość często odwiedzali francuskie teatry. Żywe zainteresowanie życiem teatralnym Paryża autor dziennika przejawiał zresztą od

początku swojego pobytu w tym mieście. Ale nie tylko w tym. Prawdę powiedziawszy, teatr niemal od zawsze stanowił dlań szczególną atrakcję, co nie znaczyło jednak, że należał do grona bezkrytycznych teatromanów. Cofając się jeszcze do czasów przedparyskich, warto przytoczyć jego lapidarną recenzję teatralną, zapisaną w dzienniku pod datą 8 lutego 1918 r.: „Wieczorem byliśmy w teatrze na *Panu Jowialskim* we trójkę z Bujakiem. Pani Jowialska znakomita, pan – wyborny, szambelan Zelwerowicz – gorszy niż Frenkiel. Solską trzeba by koniecznie wyrzucić z teatru” (cz. 1, s. 77). Skądinąd prof. Franciszek Bujak, zaprzyjaźniony z rodziną Konopczyńskich, rok później, w czasie wspólnego z Konopczyńskim pobytu w Paryżu, niejednokrotnie towarzyszył mu w jego tamtejszych wyprawach teatralnych. Jedną z nich zakończyła się fiaskiem, co Konopczyński odnotował w ten sposób: „Wieczorem miałem być w Opéra-Comique na *Louise* razem z Bujakiem. Sterczałem pod kasą od 5.20, zmęczyłem się, wygłodziłem – aby usłyszeć od kasjerki, że może sprzedać bilet tylko dla mnie, a nie dla obecnego towarzysza. W dodatku nie znalazła reszty ze stu franków. Rozzłościłem się, powiedziałem que *c'est idiot*, baba z kolei też się rozzłościła i zaczęła gromić niegrzeczność... belgijską. Tyle pociechy, że mi przyznała belgijski akcent. Wróciłem z Bujakiem, który późno nadbiegł, a wracając wtrąciliśmy trochę wermutu i grogu” (cz. 1, s. 350–351). W sumie można powiedzieć, że obaj panowie odzyskali humor, a winę za całe zajście wziął na siebie... Monsieur Poirot.

Do obowiązków Konopczyńskiego w Paryżu należał m.in. nadzór nad wydawnictwami Biura. Trzeba powiedzieć, że nie wszyscy byli z owego nadzoru zadowoleni. Wśród nich znalazł się znakomity geograf Eugeniusz Romer, który zarzucił Konopczyńskiemu brak efektywności w wykonywaniu wydawniczych obowiązków. Ten jednak przewidywał to wystąpienie i miał przygotowaną ripostę. Wykazawszy wszystkim, że to właśnie opieszałość Romera wpływała negatywnie na prace wydawnicze, podał się od 1 czerwca 1919 r. do dymisji. Ostatnie chwile w Paryżu spędził z małżonką, po czym powrócił do swych obowiązków profesorskich w Krakowie i rolniczych w Młyniku. Na krótko przed wyjazdem kupił sobie rower, jak sam to z dumą podkreślił z „dodatkiem drugiego hamulca i innych akcesoriów” (cz. 1, s. 405). Rower ten miał mu służyć przede wszystkim do pokonywania dystansu między Młynikiem a Krakowem, co wcześniej w dużej mierze musiał czynić na piechotę. Można uznać, że był to nie tylko dystans czysto geograficzny, ale też dwóch ról społecznych, które próbował ze sobą pogodzić – włościńskiej i profesorskiej. Wprawdzie ta pierwsza była już tylko słabiutkim, na poły sentymentalnym reliktem polskiej rustykalności, ale Konopczyński starał się, by ten relik harmonijnie wzmacniał rolę drugiej. Może to zbyt śmiało, ale pod tym względem dałoby się spojrzeć na bliskie stosunki towarzyskie, jakie utrzymywały ze sobą profesorsko-rustykalne, by tak powiedzieć, rodziny Bujaków i Konopczyńskich. Tu zresztą nie sposób odmówić czytelnikom jeszcze jednej anegdoty zaczerpniętej z dziennika świeżo przybyłego z Paryża do Polski Konopczyńskiego: „Stał się *casus fatalis*. Bujak, przywiozłszy w kwietniu [z Paryża – A.W.] materiał na kostium dla panny Frani, oddał go do przechowania swej Hanusi, a ona niby przez pomyłkę skrajała materiał na sukienkę dla Ewy, sobie zabierając jednocześnie inny tej owej Ewy przeznaczony. Ocalała tylko podszewka. Wczoraj i dziś dwa razy biegałem w tej sprawie do panny Hanusi, ale oczywiście za późno. Raportujemy o pomyłce do Bujaka. A jednocześnie Duś pisze do Paryża, aby szkodę, o ile można, kosztem sprawców powetować” (cz. 1, s. 425). Duś, czyli żona Konopczyńskiego, to jedyna kobieta, którą, bez wspomagania się wyjaśnieniami wydawców, udało mi się zidentyfikować. Nie zmienia to jednak tego, że identyfikacja pozostałych kobiet uczestniczących w owym „zbiegu okoliczności” jest nieistotna wobec faktu, że w sprawie „podszewki” nieskutecznie „biegał” wysoko ceniony prof. UJ. Mogła to być teatralizacja słabości „duszy kobiecej”, utrzymana w konwencji komedii pomyłek. Ale przecież Frania, Hanusia i Ewa, a także sam „biegacz” byli jednak postaciami autentycznymi.

Sam Konopczyński zwraca uwagę na to, że *Zeszyt* paryski jego dziennika różni się formalnie od tych, które powstały zarówno wcześniej, jak i później. I to nie tylko dlatego, że nie przybrał on postaci klasycznego zeszytu, czy to zszywanego, czy klejonego, ale również brak w nim tej dozy codziennej intymności związanej z relacjami uczuciowymi, życiem towarzyskim, a nawet zawodowym, w którym starał się pogodzić dwie profesje – profesorską i włościąńską – chociaż oczywiście nie na zasadzie pełnej równowagi. W Paryżu po tej ostatniej nie ma już śladu (bo Młynik oczywiście zbyt daleko), sporo natomiast zapisów pozostaje w ścisłym związku z pierwszą z nich, chociaż swe paryskie teksty sam Konopczyński uważał za dość tandetne czy wręcz wstydlive. Niewiele też w *Zeszytach* paryskim znajdziemy wzmianek dotyczących wątków rodzinnych, które jeśli występują, to przeważnie w króciutkich fragmentach odnoszących się do korespondencji z żoną. Należy wszakże zwrócić uwagę na to, że „arkuszowa” objętość tego jednego „zeszytu” dorównuje mniej więcej objętości pięciu standardowych zeszytów dziennika.

* * *

Druga część *Dziennika* obejmuje nieco ponad dwuletni okres, od początków grudnia 1919 do końca grudnia 1921 r. Można powiedzieć, że jest to czas wręcz newralgiczny w dziejach odrodzonego państwa polskiego, na który przypadło fundamentalne wręcz dla istnienia tego państwa zwycięstwo w wojnie polsko-bolszewickiej 1919–1920, a w jego ramach działania określane jako bitwa warszawska czy też cud nad Wisłą. Przyznam, że owe okoliczności sprawiły, iż przystępując do lektury, zamierzałem skonstruować niniejszy tekst na zasadzie dwóch dopełniających się aspektów, a mianowicie dyplomatycznego (uwidoczniającego się najwyraźniej „na zewnątrz”, głównie w Paryżu) oraz militarnego, dla którego największe znaczenie miało to, co działo się „wewnątrz” ziem polskich. Niestety zamiar ów okazał się niezbyt realny, ze względu na to, że aspekt militarny, który zwłaszcza w miesiącach letnich roku 1920 odgrywał ważną rolę w życiu Konopczyńskiego, w zapisach jego dziennika bywa słabo widoczny, a jeśli nawet potrafimy go dostrzec, to jest on trudny do jednoznacznej interpretacji. Warto przytoczyć kilka wojennych faktów pojawiających się na kartach dziennika Konopczyńskiego.

Zapis umieszczony pod datą 7 lipca 1920 r. kończą następujące zdania: „Zbieranie malin. Rano, prawda, rybołówstwo: trzy pstrągi i miętus. **Z gazet moral jasny: teraz kolej na mnie. To uznaliśmy oboje z Dusią** [podkr. A.W.]” (cz. 2, s. 126). Rozszyfrowując ów język telegraficznego wręcz przekazu myśli oraz intencji, należałoby powiedzieć po prostu – wobec przekazywanych przez gazety złych wieści z frontu Konopczyński wspólnie z żoną ustalili, że jako ochotnik zgłosił się on do wojskowej komisji rekrutacyjnej krakowskiego pułku artylerii ciężkiej (pac).

Zapis z 12 lipca: „Okazuje się, że błagą jest to co gazety piszą o licznych zgłoszeniach ochotników do artylerii. Dotychczas do paca zgłosiło się coś tylko ośmiu oficerów; z nich siedmiu a w tej liczbie mnie, poprowadził adiutant por. Motal do koszar Piłsudskiego przy ul. Siemiradzkiego. Tam jednak tylu było ochotników, że komisja asenterunkowa [rekrutacyjna – A.W.] nie mogła sobie z nimi dać rady, posłaliśmy więc do koszar Kościuszki na ul. Rajska. Tu po półtoragodzinnym czekaniu obejrzano nas bardzo powierzchownie i ja dostałem literę »A« [tj. z kwalifikacjami frontowymi – A.W.]” (cz. 2, s. 128). Ciekawe, że Konopczyński, zapewne w dążeniu do zachowania autentyczności swych ocen i wrażeń, nie wykreślił w tym wypadku pierwszego zdania, któremu w sposób oczywisty zaprzeczają zdania kolejne. Można przypuszczać, że stając przed komisją rekrutacyjną, miał ze sobą aktualny zeszyt dziennika i przebieg owego dnia zapisywał na bieżąco, zachowując – świadomie lub nie – brak spójności między kolejnymi dopiskami.

Okres jego służby ochotniczej dałoby się podzielić na dwa podokresy. W pierwszym to on był szkolony przez innych, w drugim (od końca sierpnia 1920 r.) sam już stał się nauczycielem artyleryjskiego fachu. Uehonorowany za to został odznaką pamiątkową, za którą skądinąd musiał zapłacić, lecz było warto, bo jak to ironicznie stwierdzał, miała ona wielce imponujący wygląd i mogła „udawać” order *Virtuti Militari*. Jego ówczesne powinności wojskowe nie wymagały stałego pobytu w koszarach, nocował zazwyczaj poza nimi (na co zresztą otrzymywał deputat kwaterunkowy) i dopiero rankiem stawiał się na zajęcia. W efekcie nie wykluczały one jego pracy jako historyka – odwiedzał biblioteki i sporo pisał. Nie zapominał rzecz prosta o Młyniku, w którym bywał przy każdej nadarzającej się okazji. Zdarzyła się taka m.in. w związku z defiladą ochotników urządzoną w niedzielę 25 lipca 1920 r., co Konopczyński zrelacjonował następująco: „Wcześniej niż zwykle poszedłem do koszar; kapitan Skąpski nas tam poprzydzielał do pięciu plutonów ochotników i pomaszzerowaliśmy na Rynek. Towarzyszyła jedna ciężka armata. Sterczeliśmy najpierw na Rynku przed mszą, podczas mszy, podczas przemówień różnych Estreicherów (szczęście, że ich nie słyszałem). Nastąpiła potem defilada przez Szewską, Dunajewskiego, Basztową, Floriańską, pod pomnik Mickiewicza z niezliczonymi zatrzymaniami się. Pluton – stój; pluton marsz *zum* [...]”³. Mało widziałem znajomych. Po dwunastej rzecz się skończyła; postanowiłem skoro Duś nie przyjechał, pomimo zmęczenia, machnąć się do Młynika. Przebrany po cywilnemu szedłem przeważnie boso przez Bolechowice, Kołęcín, Kalinowską Wolę, Młyn Mosura...” (cz. 2, s. 136). Konopczyński musiał się tym marszem nie bardzo zmęczyć, bo następnego dnia (26 lipca, poniedziałek) zapis w dzienniku rozpoczynają następujące słowa: „Ciekawym, czy kto w baterii zauważy moją nieobecność. Próbowałem rano łowić ryby – skutek żaden, bo jeden miętus” (tamże). Wszystko to poświadcza, że jednak służba w krakowskiej artylerii, wyłączając uczestnictwo w defiladach, nie należała do najcięższych. Skądinąd nasuwa się refleksja, że były to czasy, w których więcej niepokojów w Krakowie wzbudzały sprawy galicyjskie, odczuwalne choćby przez napływ uchodźców ze Lwowa, niż to, co lada moment miało się stać na przedpolach Warszawy. Jednak z dnia na dzień niepokój narastał, a ogólnie złe nastroje w rodzinie Konopczyńskich potęgowało pasmo chorób, które ją nawiedziły. Zresztą nie tylko ją. 30 lipca pisał: „Pociłem się w nocy i zasnąłem [...]. Katar kiszek *da capo*. Zygmus wrócił z Książniczek, podobno Muś zdrowszy, ale tam wszędzie sroży się czerwonka. [...] Wrzód na palcu niby się kończy, więc zaczyna się nowy na udzie. [...] Nastrój wciąż arcymaryny. W rozejm [w wojnie z bolszewikami – A.W.] mało kto wierzy (to dobrze), ale i w długą obronę też (to źle)” (cz. 2, s. 140). Nie tracił jednak nadziei, gdy pisał kilka dni później: „Pędzi ta fala bolszewicka na zachód z zawrotną szybkością, ale podobno gdzieś w Bydgoszczy przygotowuje się opór. No i ta armia wielkopolska też chyba coś potrafi zdziałać. Najmniej pomoże zdaje się dyplomacja” (cz. 2, s. 144). Te ostatnie słowa, wypowiedziane przez eksperta, który „od kuchni” poznał w Paryżu dyplomatyczne wzloty i upadki, mają szczególną wymowę, przemawiając za starą prawdą, że przede wszystkim należy liczyć na własne siły. Efektem nie najlepszych dla Warszawy prognoz było przewiezienie do Książniczek, jak się wówczas wydawało w ostatniej chwili, bo 13 sierpnia (a więc w dniu rozpoczęcia bitwy warszawskiej) mamy Lutostańskiej, dla której „przewidywane tam przejścia byłyby zbyt ciężkie” (cz. 2, s. 147). Ostatnim bodaj wyrazem potęgującego się z dnia na dzień niepokoju Konopczyńskiego był zapis z 14 sierpnia: „Strach wziąć gazetę sprzed półtora miesiąca: gdzieśmy byli, a gdzie jesteście! Rano dziś była w papie (pułku artylerii polowej) jeszcze jedna msza polowa i jeszcze jedno zaprzysiężenie żołnierzy. Co prawda wciąż nowi napływają, ale po co razem

³ Tłumaczenie niemieckiego wulgaryzmu *zum Schwanzausreissen* wydawcy podają w przyp. 95 w cz. 2, s. 136.

z nimi każą dawnym tyle razy przysięgać?” (tamże). To ostatnie pytanie mogło być wyrazem niepewności co do stanu moralnego żołnierzy polskich, ale być może to zbyt daleko idące przypuszczenie. Na szczęście już 18 sierpnia, a więc w dwa dni po rozstrzygających dla całej bitwy warszawskiej przegrupowaniach i walkach, Konopczyński mógł odnotować w swym dzienniku: „No, odetchnęliśmy trochę: gazety znośne” (cz. 2, s. 149). A potem bardzo szybko powrócił mu humor, czego wyrazem był opis tego, jak Kraków 27 sierpnia 1920 r. witał „obroncę Warszawy” gen. Maxime’a Weyganda: „Słyszałem dziś od Durterte’a⁴, że generał Weygand przejeżdża przez Kraków. Pod wieczór, złożywszy wizytę w Hotelu Saskim wujowi Kubusiowi Szyszcze⁵ (nieobecnemu), stanąłem przed Grand Hotelem i utworzyłem z siebie jedną dziesiątą część krakowskiego tłumu, który złożony zresztą po części z cudzoziemców (Amerykanów), milczeniem okazywał swe uznanie obrońcy Warszawy” (cz. 2, s. 154). I w ten oto sposób Konopczyński powrócił do pierwotnego stylu przeżywanego i opisywanego przez siebie często w sposób niemal telegraficzny polskich nocy i dni, układających się nierzadko w znakomite anegdoty.

Kończąc, i raz jeszcze wyrażając uznanie dla dzieła wydawców *Dziennika Władysława Konopczyńskiego*, chciałbym podkreślić, że bez benedyktyńskiej wręcz pracy Piotra Bilińskiego i Pawła Plichy niektóre z licznych warstw tego dzieła byłyby trudno dostępne nawet dla specjalistów z zakresu kultury, obyczajów, polityki czy nauki. Jako historyk historiografii, a zarazem autor niniejszego tekstu mogę się w tym miejscu uderzyć w piersi, że po macoszemu potraktowałem wątek dla mnie fundamentalny, ujęty w formule „Konopczyński jako historyk”. Na swoją obronę mam jednak dwa argumenty. Pierwszy, że zrobił to bardzo dobrze Piotr Biliński w otwierającym całość edycji szkicu *Władysław Konopczyński (1880–1952)*. Drugi, że kilka lat temu zrobiłem to również ja w tekście zatytułowanym *Władysław Konopczyński wobec sporów o reorientację historiografii polskiej w pierwszym dwudziestolecu XX wieku*⁶, czyli w okresie obejmującym zakres niniejszej edycji. Na plus wydawcom chciałbym również zapisać bardzo staranną obudowę edytorską *Dziennika*, pod postacią przypisów, indeksów, ilustracji, a także tablicy genealogicznej Władysława Konopczyńskiego i Jadwigi z Lutostańskich oraz map Krakowa i okolic ukazujących, jakie szlaki przemierzał Konopczyński po to, by z ziemianina przekształcać się w profesora UJ i à rebours.

Aby na koniec podkreślić, że jednak nie całkiem bezkrytycznie składam ukłon edytorom „niepodległościowych” zeszytów dziennika Konopczyńskiego, chciałbym zwrócić uwagę na niewykorzystaną, moim zdaniem, szansę ukazania dramaturgicznej osi wykładów uniwersyteckich tego uczonego. Piotr Biliński pięknie pisze o tym, że Konopczyński, skrzywdzony przez „ludową” rzeczywistość, zakończył w 1948 r. swą uczelnianą karierę na UJ wykładem poświęconym Józefowi Szujskiemu. Nie nadmienił jednak, że również temu historykowi, który w 1869 r. objął pierwszą w dziejach naszej historiografii Katedrę Historii Polski, powołaną do życia na krakowskim uniwersytecie, poświęcił Konopczyński już wcześniej swój wykład wygłoszony w 1933 r. w związku z obchodami pięćdziesięciolecia jego zgonu. Zdaniem ucznia Konopczyńskiego – Emanuela Rostworowskiego – jego mistrz w trakcie tego wykładu niemal

⁴ Lubiany i ceniony przez Konopczyńskiego major armii francuskiej, pełniący w Krakowie funkcję głównego instruktora artylerii; zob. tamże, s. 131.

⁵ Pułkownik, a wkrótce też generał brygady WP Jakub Szyszko-Bohusz przeprowadzał podówczas w Krakowie inspekcję formacji ochotniczych; tamże, s. 147–148.

⁶ Zob. A. Wierzbicki, *Władysław Konopczyński wobec sporów o reorientację historiografii polskiej w pierwszym dwudziestolecu XX wieku*, w: *Władysław Konopczyński jako badacz dziejów XVIII wieku*, red. Z. Zielińska, W. Kriegseisen, Warszawa 2014, s. 9–28.

całkowicie utożsamiał się z Szujskim, którego duch miał ożywiać i stać na straży Niepodległej Polski. Można zatem powiedzieć, że wybierając na pożegnanie z UJ wykład również poświęcony Szujskiemu, Konopczyński spiął jak gdyby dramaturgiczną klamrą nie tylko losy tej katedry. Zwrócenie uwagi na tę symbolikę pociągałoby za sobą (oczywiście, jeśli od strony „źródłowej” nic nie stoi temu na przeszkodzie) postulat komparatystycznego zestawienia obu tych przemówień, co mogłoby dać podstawę do uznania drugiego z nich za rodzaj nie tylko naukowego, ale i politycznego testamentu Konopczyńskiego.

Andrzej Wierzbicki